

Monika Gabriela Bartoszewicz: Obamy wojna z terroryzmem

Należy zadać pytanie jak Obama może pokonać współczesny islamski jeżeli konsekwentnie zaprzecza istnieniu jego religijnych motywacji?

W kontekście terroryzmu trudno o dwa większe przeciwieństwa niż George W. Bush i Barack Obama. Nic w tym dziwnego bowiem swój kapitał polityczny ówczesny jeszcze kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych zbijał właśnie na tym, jak bardzo się od ustępującej głowy państwa różni i jakie zmiany wprowadzi. Zmiany te (Yes, we can!) nie ominęły tego, co administracja Busha sprzedała światu jako „War on Terror” – wojnę z terroryzmem, a co sam Obama oraz jego zaplecze polityczne postrzegało jako błąd, a to znaczy błędne decyzje polityczne wynikające z błędnej interpretacji rzeczywistości. Nie należy się zatem dziwić, że czasy prezydenta Obamy to właśnie walka z owymi błędami – „War on Error”.

Dwoma ramowymi punktami definiującymi Obamy wojnę z terroryzmem są dla mnie – jego przemowa w Kairze z 2009 oraz niedane przemówienie w (powiązanym z Bractwem Muzułmańskim) meczecie w Baltimore z lutego 2016. Zachęcam do tego, żeby uważnie teksty obu wystąpień przeczytać i porównać, stanowią bowiem swoistą klamrę prezydentury Baracka Obamy w kontekście zagrożeń stwarzanych

przez terroryzm islamski, zarówno w samych Stanach Zjednoczonych, jak i poza granicami USA – czyli tego, co czasem określa się terminem «zderzenia cywilizacji».

Sama podróż do Egiptu była niezmiernie symboliczna i miała stanowić nowy początek w relacjach USA ze światem islamu. Okrzyknięta wizjonerską i przełomową, mowa Obamy skupia się jedynie na wymienieniu jakimi sposobami Zachód (szczególnie zaś Ameryka) źle, jego zdaniem, traktował świat islamski. W wielu miejscach przemówienie Obamy ociera się o powierzchowną banalność i niebezpieczną naiwność. Prezydent nie mówi na przykład ani słowa o doktrynie dżihadu, ani słowa o islamskich podbojach, o sięgającym czasów Mahometa historycznym imperatywie walki z nie muzułmanami, których należy podporządkować prawu Allacha i panowaniu kalifa jako *dhimmi*. W Kairze nie padły także słowa o kulturze nienawiści i pogardy dla niemuzułmanów, które istniały na długo przed rozprzestrzenianiem kultury amerykańskiej. Najważniejsze jednak zdanie najdobitniej pokazujące całkowitą woltę polityki zagranicznej administracji Obamy opiera je o konstatację, że “Ameryka i islam nie wykluczają się nawzajem i nie muszą ze sobą konkurować. Przeciwnie, mają ze sobą wiele wspólnego dzielą wiele zasad”. [1]

Przemawiając w meczecie w Baltimore na początku tego roku, Obama dochodzi już jednak do innych wniosków. Otóż jego zdaniem wojna trwa, ale nie jest to wojna terrorystów (oraz wspierających ich państw) przeciwko Stanom Zjednoczonym, jak twierdził George W. Bush (i co często przypomina Donald Trump). Owa wojna, to wojna USA z islamem. Obama wyraził w Baltimore przekonanie, że wolność religijna muzułmanów jest w Stanach Zjednoczonych ciągle atakowana. Środki mające zapobiegać zamachom terrorystycznym Obama utożsamia z

naruszeniem pierwszej poprawki amerykańskiej konstytucji. Są to argumenty zaczerpnięte od takich organizacji, jak mająca powiązania z Hamasem Rada Stosunków Amerykańsko-Islamskich (CAIR), która od lat podejmuje starania, żeby wszystkie wysiłki zwalczania terroryzmu określać mianem „fanatyzmu” i wielokrotnie ustami swych przedstawicieli twierdziła, że środki mające na celu uniemożliwić integrację przepisów szariatu sprzecznych z amerykańską konstytucją były próbami ograniczenia wolności religijnej muzułmanów. Jednocześnie wypada za Robertem Spencerem powtórzyć, że oświadczenie Obamy, iż „atak na jedną religię jest atakiem na wszystkie wyznania” jest po prostu absurdalne. Czy atak na jeden kraj jest atakiem na wszystkie państwa? Czy inwazja Hitlera na Polskę była także atakiem na sojusznicze Włochy? – pyta Spencer.

Więcej niż semantyka

Gesty wyciągniętej ręki do świata islamskiego, uznanie muzułmanów za główne ofiary terroryzmu i walki z nim, to więcej niż tylko retoryczne chwytły lub puste symbole. To jak semantyka Baracka Obamy przekłada się na konkretne działania polityczne pokazuje jego kolejne kontrowersyjne wystąpienie, tym razem na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych, gdzie w 2012 roku Obama zapowiedział, że „przyszłość nie może należeć do tych, którzy szkalują proroka islamu”, tym samym zrównując wszelką, nawet popartą argumentami i dowodami krytykę islamu i jego wyznawców, z czymś, co obecnie nazywa się islamofobią, czy też mową nienawiści. Zgodnie z tą filozofią w ciągu ostatnich lat administracja Obamy nakazała oczyszczenia ważnych dokumentów publicznych z wszelkich wzmianek o ISIS oraz „islamskim terroryzmie”. To tylko jedna pośród wielu innych kampanii prowadzonych m.in. przez Departament Bezpieczeństwa

Wewnętrznego, który zmuszał swoich pracowników do usuwania odniesień do „świętej wojny”, „szariatu” oraz innych podobnych określeń z materiałów dotyczących metod przeciwdziałania ekstremizmowi. Przykładem takich starań jest ocenzurowanie 911 zapisów rozmów telefonicznych wykonywanych przez zamachowca odpowiedzialnego za strzelaninę w Orlando.

Niewielu wie, że za tymi decyzjami lobbowały głównie organizacje muzułmańskie; to one właśnie w marcu 2012, przy zgodzie ze strony administracji Obamy doprowadziły FBI do takiego oczyszczenia 876 dokumentów oraz materiałów szkoleniowych, ponieważ zostały one uznane za „obraźliwe”. Wysłano nawet w tej sprawie list, który został podpisany przez przywódców praktycznie wszystkich znaczących grup islamskich w Stanach Zjednoczonych: razem 57 organizacji zrzeszających aktywistów muzułmańskich, arabskich, oraz tych wywodzących się z Azji Południowej. Wiele z tych stowarzyszeń ma powiązania z Hamasem i Bractwem Muzułmańskim, jak wspomniana już Council on American-Islamic Relations, ale także Islamic Society of North America, Muslim American Society, Islamic Circle of North America, Islamic Relief USA, czy wreszcie the Muslim Public Affairs Council.

W liście tym obnażono w jaki sposób amerykańskie agencje rządowe „wykorzystują tendencyjne, fałszywe i wysoce obraźliwe materiały szkoleniowe na temat muzułmanów i islamu”. W związku z tym z agencyjnych bibliotek i centrów szkoleniowych zniknęły liczne książki i prezentacje, które przedstawiały dokładny (nie zaś wyróżowiony) obraz islamu i dżihadu. Dzięki takiej polityce obecnego rządu cztery i pół roku później okazało się, że niemożnością jest odpowiednio wczesne zidentyfikowanie zagrożenia stwarzanego przez ludzi takich, jak Omar

Mateen (zamachowiec z Orlando), Syed Rizwan Farook and Tashfeen Malik (stojący za strzelaniną w San Bernardino), czy Muhammad Youssef Abdulazeez (terrorysta z Chattanooga). Dzieje się tak dlatego, że amerykańska administracja jest politycznie zobowiązana do ignorowania tego, co za poprzedniego prezydenta byłyby traktowane jako znaki ostrzegawcze. W tym kontekście warto także przypomnieć, że wysocy urzędnicy administracji Obamy odmówili stawienia się przed Kongresem w celu złożenia wyjaśnień dotyczących niedawnej decyzji, zgodnie z którą w czerwcu 2016 usunięto wszystkie odniesienia do „islamskiego terroryzmu” i radykalizmu z dokumentów urzędowych.

Przypomnijmy sobie, że we wrześniu 2015 roku prezydent USA przewodniczył spotkaniu światowych przywódców, którzy w siedzibie ONZ debatowali nad walką z terroryzmem oraz zastanawiali się jak pokonać ISIS. Należy zadać pytanie jak Obama może pokonać współczesny islamski jeżeli konsekwentnie zaprzecza istnieniu jego religijnych motywacji? Często powtarzane przez Obamę twierdzenia, że Państwo Islamskie można pokonać tylko po usunięciu Asada od władzy jest oparta na założeniu, że ISIS z islamem nie ma nic wspólnego, jest zaś jedynie grupą rebeliantów walczących z reżimem Asada. Zgodnie z tą logiką, państwo islamskie zniknie dopiero po usunięciu „dyktatora”, zaś twierdzenie, że ugrupowania terrorystyczne będą głównymi beneficjentami upadku Asada staje się absurdalne.

Przyjaciel Iranu

Ponieważ integralnym elementem polityki prowadzonej przez administrację Obamy w regionie Bliskiego Wschodu jest ignorowanie i negowanie religijnych aspektów współczesnego terroryzmu, należy

znaleźć punkt odniesienia. Dla Obamy, takim punktem jest właśnie erroryzm Stanów Zjednoczonych. Skorygował zatem także, błędną w jego mniemaniu, politykę USA wobec Iranu – państwa, które George W. Bush umieścił na tzw. „osi zła”.

Iran bezsprzecznie pozostaje jednym z największych na świecie sponsorów terroryzmu, pretendentem do hegemonii regionalnej, państwem w dalszym ciągu bardziej rewolucyjnym, niż reformatorskim. A jednak to dzięki staraniom Obamy Iranowi dano możliwość zwiększenia swojego potencjału nuklearnego i zwiększenia wpływów. Między innymi pozwolono Iranowi na zwiększenie zasobów wzbogaconego uranu tłumacząc przy tym nieco mętnie, że będzie on „zamieniany na inne formy chemiczne”. Jednocześnie bez mrugnięcia okiem przyjęto dalsze utrudnienia stawiane przez Iran inspektorom z Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (m.in. odmowa ich wpuszczenia na teren kompleksu Parchin).

Gdyby posłuchać Baracka Obamy, można by uwierzyć, że „w ciągu ostatniego roku, dzięki podpisanej umowie, udało się wyhamować program jądrowy Iranu, unikając dalszego konfliktu i czyniąc świat bezpieczniejszym”. Tymczasem, zmiana polityki amerykańskiej wobec Iranu doprowadziła jedynie do tego, że państwo to stało się jeszcze większym zagrożeniem regionalnym, przyczyniając się do destabilizacji Bliskiego Wschodu; jego szacunek dla wspólnoty międzynarodowej wydatnie zmalał (vide: przeprowadzenie testów balistycznych rakiet z naruszeniem prawa międzynarodowego) zaś dla samych Stanów Zjednoczonych zanikł niemal całkowicie. Wystarczy tu przypomnieć nielegalne zatrzymanych żołnierzy USA i ich upokarzające traktowanie oraz okup jakiego zażądano za ich wypuszczenie (według oficjalnych oświadczeń Stany zostały zmuszone do zapłacenia Iranowi 1,7 mld USD

gotówką). Ponadto istnieją dowody na to, że Iran otrzymał dodatkowe 33.6 miliarda USD w ramach tajnych płatności gotówką i złotem płatności. Płatności te miała ułatwić właśnie administracja Obamy między rokiem 2014 i 2016. W okresie od stycznia 2014 do lipca 2015, kiedy administracja Obamy ustalała ostateczne szczegóły porozumienia jądrowego, co miesiąc płacono Iranowi dodatkowe 700 milionów USD z funduszy, które wcześniej były zamrożone w ramach sankcji amerykańskich.

Dlaczego jest to ważne? Stoimy wobec wyczekiwanego wykorzenia Państwa Islamskiego z Mosulu i późniejszego upadku matczynika tej organizacji w Raqqa. Dzięki amerykańskiemu zaangażowaniu wojskowemu, prezydent Barack Obama pomyślnie zakończy procesy historyczne zapoczątkowane jeszcze przez prezydenta George'a W. Busha usunięciem dyktatury Saddama Husajna i jego reżimu. To właśnie dzięki Obamie najbardziej wojownicza sekta islamu szyickiego islamu, czyli irańska Velayat-e faqih, odniesie historyczne zwycięstwo nad islamem sunnickim zaś sam Iran stanie się regionalnym hegemonem od Oceanu Indyjskiego aż po Morze Śródziemne, zagrażając zarówno Turcji jak i Arabii Saudyjskiej. Nie wróży to spokojnej przyszłości regionu.

Na własnym podwórku

Część z tych decyzji, wizji i strategii nie rodzi się w głowie samego Obamy, ale raczej przygotowywana jest w zaciszu gabinetów jego zaufanych współpracowników. Wśród tych znajdują się także muzułmanie, z których część to osoby co najmniej kontrowersyjne. Na przykład szefem Center for Strategic Counterterrorism

Communications, wchodzącego w skład Departamentu Stanu USA, a jednocześnie instytucji odpowiedzialnej za walkę z maszyną propagandową ISIS został Raszad Hussajn. Wcześniej był to specjalny wysłannik administracji Obamy do Organizacji Współpracy Islamskiej (OIC), czyli organizacji międzynarodowej, której jedną z głównych osi działalności jest wymuszanie na państwach zachodu przyjmowanie prawodawstwa dotyczącego mowy nienawiści, które umożliwiłoby skuteczne tłumienie wszelkiej krytyki islamu, w tym krytykę dżihadu, czyli aktów przemocy popełnianych w imię religii Mahometa. Mniej mówi się o tym, że Raszad Hussajn ma powiązania z Bractwem Muzułmańskim. Inną barwną postacią jest Dalia Mogahed, wchodząca w skład doradców Obamy, znana ze swoich twierdzeń, że „biali chrześcijanie” popełniają większość ataków terrorystycznych. Wbrew twierdzeniom Mogahed dane na które się powoływała nie pochodzą od FBI, ale zostały wzięte z badania, które zostało opublikowane przez New America Foundation. Twierdzenia że „prawicowy ekstremizm” jest w USA większym zagrożeniem niż dżihad, były jednak możliwe tylko dzięki temu, że do liczby zabitych Amerykanów od 9/11 2001, nie włączono ofiar 11 września oraz pominięto wiele udaremnionych zamachów islamistycznych.

Czy zatem należy się dziwić, że prezydent opierający się na takim zestawie doradców radykalnie zmienił politykę antyterrorystyczną także na poziomie krajowym? Na przykład gdy po raz ostatni rząd federalny uznał organizację charytatywną zarejestrowaną na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki jako narzędzie dla pozyskiwania funduszy na cele terrorystyczne, Barack Obama sprawował urząd prezydenta przez okres krótszy niż miesiąc a Osama bin Laden był nadal na wolności. W dniu 11 lutego 2009 roku, Departament Skarbu

uznał Tamil Foundation, fundację zarejestrowaną na terenie stanu Maryland, za organizację rzekomo zbierającą fundusze dla Tamilskich Tygrysów, organizacji terrorystycznej z obszaru Sri Lanki.

Od tamtej pory, administracja Obamy nadzorowała wojnę finansową wobec Iranu i uniemożliwiła Państwu Islamskiemu uzyskiwanie przychodów pochodzących z handlu ropą naftową. Departament Skarbu zmuszał banki do zaprzestania współpracy z organizacjami powiązаныmi z terroryzmem i współpracował z państwami Zatoki Perskiej w celu modernizacji ich systemów finansowych i rozprawienia się z podejrzanymi organizacjami charytatywnymi i innymi podmiotami zajmującymi się praniem pieniędzy. Ale praktyka wciągania na czarną listę organizacji charytatywnych zarejestrowanych na terenie USA, kluczowego narzędzia wojny z terroryzmem prowadzonej przez prezydenta George'a W. Busha, pod rządami Obamy zaniknęła zupełnie.

Co więcej przynajmniej 1000 nazwisk zniknęło z Terrorist Screening Database, bazy zawierającej podejrzanych o powiązania terrorystyczne. Było to wynikiem wysiłków obecnej administracji mającej na celu ochronę praw obywatelskich podejrzanych osobników. Z pewnością wszyscy dżihadyści, których nazwiska zostały usunięte z tej listy są bardzo wdzięczni, że ich prawa obywatelskie są chronione. Nie ma natomiast żadnych dowodów na to, że zmotywuje ich to do zaniechania planowania ataków terrorystycznych w Stanach Zjednoczonych. Na pewno wiadomo jednak, że dane usunięte z tej bazy, będące swego rodzaju listą obserwacyjną, pomogły zapobiec atakowi terrorystycznemu San Bernardino.

Administracja Obamy chętnie przyjmuje także uchodźców. Według danych opublikowanych przez Pew Research Centre, rok 2016 ustanowił rekord pod kątem przyjmowania muzułmanów (było to 46% wszystkich imigrantów). Bardziej zaskakujące jest to, że pomimo ludobójstwa przeprowadzanego przez ISIS na mniejszościach religijnych, w tym szczególnie chrześcijanach, w roku obecnym z terenów Syrii USA przyjęło zaledwie 28 chrześcijan z terenów objętych konfliktem wobec 5435 muzułmanów. Jednocześnie w ubiegłym roku udzielono azylu ponad 1500 cudzoziemcom z powiązaniem z organizacjami terrorystycznymi. Dane te ujawnił raport roczny przygotowany przez Urząd ds. Obywatelstwa i Imigracji wysłany do Kongresu we wrześniu 2015. Administracja Obamy tłumaczy, że powodem takiego stanu rzeczy są niewystarczające środki, ale w przedstawionym ostatnio planie budżetowym na rok 2017 propozycje Białego Domu które zakładają zmniejszenie środków na programy antyterrorystyczne w całym kraju o prawie 300 mln USD (czyli niemal o połowę). Czy oznacza to, że Obama wojna z terroryzmem przyniosła oczekiwane skutki – nie wiadomo. Czy podoba się ona Amerykanom – pokażą nadchodzące wybory.

[1] tłum. aut.